



Nowo OTWARTY MAGAZYN OBUWIA ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 — TELEFON 516

poleca najlepszej jakości i trwałości

obuwie dziecięce, damskie i męskie.

PIOTR SALES

LEKARZ CUDOTWÓRCA

Tłumaczyła **MARYA SEGENY.**

3 — Dyabli by nadali — zaklął Gewolski...
— Czy to od świętej Anny przynieśli nocą tego draba?

— Tak, zdaje mi się — odpowiedział doktor, dzwoniąc zębami.

— Niema się czem tak przejmować, mistrzu — pocieszał sługę. — Nie pierwszy to raz żywego człowieka pakują w cztery deski. Co panu może zażyć na takim waryacie!

Waryat!...

Czy człowiek ten był waryatem kilka godzin temu? Jakiej strasznej pomyłki byli winni ci fatalni pośrednicy, którzy w lojalny dotąd sposób postępowali z nim i dostarczali mu zawsze świeżych trupów na stół sekcyjny. A przecież działał z taką rozważą i ostrożnością.

Wszakże doskonale rozpoznał tego niebezpiecznego wroga swojego, Piotra Lebonnier, na dworcu św. Łazarza, jego to wskazał naczelnikowi służącej mu szajki i kazał za wysokim wynagrodzeniem dostawić sobie do laboratorium. Rozkaz jego szybko wykonano, tylko, że oto leżący na podłodze zemdlony człowiek, pomimo ludzkiego podobieństwa, nie był prawdziwym Piotrem Lebonnier, nie miał na piersi znamiennej, a pamiętnej mu blizny! Tymczasem waryat ocucił się z omdlenia i zaczął się śmiać głośno. Najwidoczniej ci dwaj ludzie obawiali się go! Nie poruszał się, przypatrując mu się błędnie oczyma.

— Ależ to sen! to sen oczywisty! — wymówił łagodnie, podnosząc ręce do czoła.

Gewolski i Antoni postąpili równocześnie krok ku niemu. Człowiek przez chwilę obejmował pytającym spojrzeniem otaczające go sprzęty i krzyk przerażający wydarł się z jego piersi.

— Ah! szatan! Strzeżcie się jednak! Jeden z was poczuł już siłę mojej pięści!

Doktor ze swoim pomocnikiem stali już tuż za nim, gotowi uchwycić go przy pierwszym jego poruszeniu.

— Gdzież jestem? — jęczał teraz nieszczęśliwy, ukrywając twarz w dłonie. — Moja żona! moje córki! Odezwijcie się przez litość, bo oszaleję!

Bo oszaleję!

Czy słowa te nie były dla Gewolskiego znakiem wybawczym? Jednakże w tej chwili człowiek ten nie wyglądał na waryata. Zwrócił wybladłe spojrzenie na doktora i błagał cicho.

— Czego wy chcecie odemnie? Co wam uczyniłem. Pozwólcie mi stąd odejść! Oh! ten straszny ciężar na głowie... ciemność głęboka i ci... szatani.

Oczy jego w jednej chwili zabłyśły gorączkowym ogniem, chciał się podnieść, bronił rękami i nogami jakgdyby od jakiejś niewidzialnej napaści i tarzając się po ziemi z wściekłością, przewracał stoliki, tłukł sprzęty.

Antoni poskoczył, chcąc go w pół uchwycić, lecz zanim się spostrzegł, człowiek trzymał już w ręce duży nóż chirurgiczny.

— Ah! do krośset! — zawołał Antoni. — Pozwólże mi, mistrzu, załatwić się z nim po mojemu! Jesteśmy w prawie bronić swojego życia!

— Głupcze! — syknął Gewolski, chwytając go za rękę i oczami nakazując milczenie.

Stał jednak chwilę jakgdyby niepewny; bronić się przed napaścią miał prawo, ale mordować nie chciał. Nie chciał również ze sługę swojego, w gruncie uczciwego i przywiązanego do siebie chłopaka,

czynić współnika zbrodni. Przed ostateczną, brutalną zbrodnią miał wstręt nieprzełamany, a zresztą, czyż dla jednego, nierozważnego kroku, miał tracić to wszystko, co zdobył sobie przez tyle lat pracy i energii? Wobec socjalnych ustaw był teraz czysty. Na wagę złota skupował co prawda w tajemnicy trupy szpitalne, lecz czyn ten karygodny nie był. Czynił to dla nauki i dobra ludzkości...

Otóż teraz przez przypadek fatalny dostarczono mu waryata, pogrążonego w śnie kataleptycznym. Ale życie tego waryata należało zachować.

Jedynym teraz obowiązkiem sławnego lekarza Gewolskiego było zatrzymać tego nieszczęśliwego i leczyć go.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił twarz doktora.

— Antoni! Potrzebny mi jest kaftan bezpieczeństwa.

— Może coś podobnego znajdę? Mam sznury i tę płachtę, w której go przynieśli.

Zadanie nie było łatwe, bo waryat rzucał się na wszystkie strony, krzycząc przeraźliwie.

— Nie damy mu rady mistrzu! Trzeba by ze szczęściem ludzi do niego. Ale ja mam tu coś, co go uspokoi!

Z pułeczki, znajdującej się niedaleko stołu, chciał pochwycić flaszeczkę z chloroformem. Lecz ruch ten zauważył już waryat!

W chwili gdy sługę stał zwrócony plecami do pokoju — uzbrojony w nóż, który zdołano mu wyrwać z ręki przed rozpoczęciem walki — poskoczył, gotując się do uderzenia.

Antoniego przeszedł dreszcz śmiertelnego lęku. Konwulsyjnym ruchem uchwycił się jedną ręką pułki, przewracając równocześnie i tłukąc poustawiane na niej flaszeczki. Ostra woń chloroformu napełniła powietrze, odbierając na chwilę przytomność wszystkim obecnym, ale w różnym stopniu.

Gewolski, najwięcej oddalony od miejsca wypadku, oszołomiony wsparł się o ścianę. Antoni zaś, znajdujący się najbliżej okna, miał na tyle siły, by pchnąć ramę rozpaczliwym wysiłkiem. Prąd świeżego powietrza wtargnął do pokoju. Już teraz jemu i doktorowi nie groziło niebezpieczeństwo, podczas gdy waryat, nieprzytomny, bez najmniejszego śladu życia, leżał pośród szczątków rozbitego flakonu.

— Zamknij natychmiast okno — rozkazał Gewolski. — Czy chcesz koniecznie sprowadzić tu kogoś?

Sługę usłuchał, poczem pochylił się nad leżącym i przypatrywał mu się z uwagą.

— Wszystko w porządku — oznajmił. — Zdaje się, że sam los pragnie go od nas uwolnić. Nie mogło się lepiej złożyć. Niechno mistrz zobaczy, czy długo jeszcze dychać będzie.

Doktor przyłożył ucho do piersi zemdlonego i nasłuchiwał chciwie. Twarz jego skureczyła się z wyrazem niezadowolenia, ucho jego bowiem pochwyciło kilka lekkich, nierównych uderzeń. Chory żył jeszcze!... I oto nagle nowa komplikacja wyłaniała się, by do reszty zachwiać spokojem doktora. Najniespodziewaniej rozległ się donośny dzwonek telefonu.

Pierwszą jego myślą było kazać odezwać się Antoniowi, że go niema, ale myśl tę uznał za niebezpieczną. W tej tak strasznej i niepewnej sytuacji kłamstwo mogło się okazać zgubne w skutkach. Przeciwnie! Należało odpowiedzieć i to w sposób najnaturalniejszy, jak gdyby nic anormalnego z nim się nie działo.

— Odpowiedz Antoni — rozkazał — odpowiedz. A właściwie zapytaj, kto mówi?

Dzwonek telefonu jęczał nieprzerwanie i niecierpliwie. Jednak Antoni opóźniał się z podejściem do aparatu, albowiem w niespokojnym spojrzeniu swojego pana wyczytał myśl nową.

— Poczekaj! ja sam się rozmówię — wyrzekł wkońcu Gewolski.

— Kto tam? — zapytał osiwo. — Jestem zajęty, przy pracy!

— To ja, ojciec, wybac mi.

— O cóż to chodzi?

— Nie o mnie, bo bym się nie ośmielił niepokoić cię... Twoją przyjaciółką, księżniczką, telefonowała przed chwilą.

— Ah! — szepnął Gewolski zduszonym głosem. Księżna tak wcześniej pragnie od niego wiadomości! W tem coś jest!

— Odpowiedział jej — mówił dalej Stanisław — że pracujesz w swoim laboratorium.

— Nie dałeś jej przynajmniej numeru telefonu?

— Nie, ojciec, nie pytała się, zresztą wiem, że chcesz go zachować w tajemnicy.

— No i cóż ci mówiła księżna?

Lecz zaledwie wymówił te słowa, zadrżał, przypominawszy sobie teraz dopiero, że rozmowa jego z synem miała świadków. Zwrócił się więc do pokoju, lecz Antoniego już nie było, zanadto dobrze wytresowany sługę oddał się dyskretnie. Chory zaś leżał w tej samej pozycji, co przedtem, bez czucia i ruchu.

— Księżna mówiła, że ma ci coś bardzo ważnego do zakomunikowania i pragnie cię jak najspieszniej ujrzeć — brzmiała odpowiedź Stanisława.

— I to wszystko?

— Tak, tylko zauważyłem, że głos księżnej był bardzo wzruszony. Co mam jej odezwać?

W tej chwili szmer jakiś odwrócił uwagę doktora. Spojrzał za siebie i ujrzał waryata pochyłego naprzód, przysłuchującego się czemuś z uwagą i dobiegły go ledwie dosłyszalne słowa:

— Mówię wam, że ktoś dzwoni do bramy! Nie słyszyście, małe? To napewno pan Stanisław Gewolski.

Równocześnie dzwonek telefonu dzwonił dalej. To Stanisław energicznie protestował przeciw przerwaniu komunikacji.

Wtedy nieznajomy się zniecierpliwił.

— Nie słyszyście! Żono! dzieci! To śmieszne, kazać komuś tak czekać u bramy!

Doktora opanowało nagle uczucie, że wszystko wokół niego zapada się w przepaść! A więc mało było, że się dopuścił tak głupiej pomyłki, która pociągnąć za sobą mogła zachwianie całej jego egzystencji, sławy, majątku. Trzeba było jeszcze, aby człowiek, w tak straszny sposób skrzywdzony, nad którym wahał się jeszcze z wydaniem ostatecznego wyroku śmierci, był ojcem dziewczyny, wybranej przez jego syna.

A gdyby wkońcu zdecydował się na ten krok fatalny, morderca, którego by niewątpliwie poszukiwał Stanisław i odkrył, by pomścić krzywdę sieroty, byłby jego własny ojciec!

Jego syn! jedyne dobro jego życia, stanąłby mu na drodze jako wróg śmiertelny!

Waryat.

Stanisław w dalszym ciągu wzywał ojca do telefonu, a nieszczęśliwy, tarzający się po podłodze waryat niecierpliwił się głośno, dlaczego przyjacielowi jego, panu Stanisławowi Gewolskiemu, córki nie chcą otworzyć drzwi od ogrodu.

Wyprowadzony z równowagi Gewolski ostro odpowiedział synowi, że odwiedzi księżną i prosi, aby go więcej nie niepokoić, poczem z trzaskiem zawiesił słuchawkę przy aparacie.

Na ten znak, że rozmowa już jest zakończona, wsunął się ostrożnie do pracowni Antoni i z rękami wyciągniętymi szedł prosto ku choremu.

Gewolski zamarł z przerażenia.

Jeżeli sługę podchwyci znaczenie wyrazów, wymawianych przez niego?

Ale wyraz twarzy waryata zmienił się nagle; wydawał się być znudzonym! Uniósł ręce do głowy i wyszeptał:

— Mój Boże! jak tu zimno!

Potem powstał nagłym ruchem i powolnym, majestatycznym krokiem podszedł do stołu. Szerokim